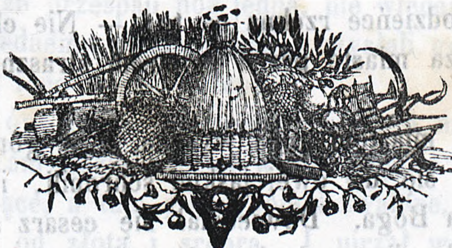
Tom III.



Nr. 13.

1. Listopada **1860.**

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

O siedmiu braciach spiących.

Roznieśli apostołowie naukę Chrystusa Pana po całej ziemi, a poszło prześladowanie za nimi i wszelkie okrutności. I kto uwierzył w Syna Bożego, ten nie uniknął złego, a zginął śmiercią męczeńską. Męczyli poganie bez liczby wiernych chrześcianów. Wszystkie wieże nimi zapełnili; ciała ich po murach wieszali, głowy na drzewach zatykali; a ptacy, wrony i sępy ciała Świętych pożerały i do koła miasta latały.

A jako bicz pański, usiadł na krwawym tronie cesarz pogański, i kazał jeszcze mordować.

I owo tak się zdarzyło, iż się siedmiu młodzieńców zmówiło, że będą wierni i zniosą dla Chrystusa i przeczystej Panienki wszystkie męki, choć srogie. Więc odtąd razem chodzili i wzajem się żywili, i razem mieszkali, a wzajemnie się wspomagali w stateczności i wierze.

Skoro się o tem cesarz dowiedział, zaraz ich kazał wieść przed siebie, a w srogim gniewie tak rzecze:

— Czy chcecie wy się wyrzec waszej wiary? Nie pomogą wam żadne czary waszego Boga, ani On was obroni od mej dłoni.

A owi młodzieńce rzekną na to: — Nie chcemy.

I uciekli za miasto przed gniewem strasznego cesarza pogańskiego.

A była za miastem góra wysoka, a w górze była jaskinia głęboka, więc się do owej jaskini schronili, i tam się modlili gorąco do Pana Boga. Dowiedział się cesarz srogi, gdzie się młodzieńce zuchwali przed nim schowali. I posyła cesarz wojsko swoje, i posyła murarzy, a rzecze: — Jak zobaczycie skałę, gdzie młodzieńce zuchwałe, tak mi zaraz zamurujcie do jaskini wnijście, i nazad przyjdźcie zdać sprawę.

Poszli cesarscy słudzy na pole, i pełnią jego wolę, i wzięli się ogniście zamurować do jaskini wnijście, żeby owi już na świat nie wyszli.

A młodzieńcy w skale klęczeli, i nie słyszeli mularskiego stukania, jeno swoje modły i błagania zanosili do Boga. A skoro im się ciemno w jaskini zrobiło, myśleli że się słońce skryło i zapadło za góry. Więc po chwili do snu głowy skłonili, i spuścił Pan Bóg sen na ich powieki.

I wnet wszyscy o nich zapomnieli, jak gdyby już poginęli. Tylko jeden chrześcijanin wyszedł rano, a miał tabliczkę ołowianą, i spisał na tabliczce tych młodzińców imiona, i rok, kiedy uczyniona zbrodnia owa, i wrzucił szczeliną tabliczkę do pieczary.

Płynęły odtąd lata jak woda. I tak lato po lecie dwieście lat minęło, a na świecie wszystko się odmieniło. Czysta wiara przez Chrystusa Pana opowiadana, zwyciężyła wszystkie ludzkie bałwany i złości, i rozprószyła ciemności. A trafiło się tego czasu, że powstali mędrcowie, a były w ich mowie fałsze i niedowiarstwo. I zaprzeczali owi Jezusowi, i mówili złem sercem, że Pan Bóg umarłych nie wskrzesi na sąd ostateczny i żywot wieczny. I była ztąd wielka rozterka w chrześcijańskich ludach.

Ale Bóg wszechmocny przekonał w prędce one mędrce o prawdzie nauczenia Syna swego Boskiego.

Wydarzyło się onego czasu, że wedle tej pieczary, gdzie śmierć ponieśli młodzieńce dla wiary Chrystusowej, zakładał ogród

owocowy dziedzic tej góry. A skoro ludzie kamienie odwalili, to się przestraszyli i uciekli, bo młodzieńce odżyli i powstali. I tak im się zdało, że przespali noc jedną, nie więcej; więc po modlitwie gorącej jednemu pieniądz dali i wysłali go do miasta, aby nakupił chleba i co więcej trzeba.

I wszedł ów do miasta bramą, i zdało mu się, że miasto nie to samo. Tam gdzie widział wczoraj bydło się pasące, były ogrody woniejące, a tam gdzie domki zwalone, były postawione pałace pyszne od złota i srebra. I ujrzał wszędzie krzyże, a wczoraj ich nie było; i słyszał słowa: Jezus Chrystus! Więc go ta mowa zdziwiła, że wiara Chrystusowa tak rychło zwyciężyła.

Zatrwożył się młodzieniec i pyta człowieka: — To jest miasto Efez?

A ów rzeknie zdziwiony: — Toć jest ono.

I szedł dalej młodzieniec wziąć chleba i coby więcej trzeba. A skoro dał pieniądze piekarzowi, to się ludzie dziwili, że pieniądz taki stary, i z cicha do siebie mówili: Oto skarb znalazł w ziemi. I wiedli go do starszego, aby zdał sprawę z tego skarbu znalezionego. A on staje, ogląda się i nikogo nie poznaje, choć był rodzic z Efezu.

Przywiedli go przed biskupa i starostę pospołu.

I pyta go starosta: — Gdzieś ten pieniądz wziął? skarb pewnieś znalazł; powiedz, gdzie leży?

On rzekł: — Ja ten pieniądz mam od ojca mego. Więc pytali się o rodzica jego, a skoro im rzekł, to się śmiali i szaleńcem go zwali. A skoro im rzekł dalej o cesarzu, co ich kazał wczoraj zamurować, tak się ludzie jęli dziwować, i szli za nim do jaskini, gdzie bracia jego inni także byli. A w jaskini znaleźli tabliczkę, gdzie był razem z imiony rok naznaczony.

Wtedy biskup ukląkł i chwalił Imię Pańskie przed ludem, że swoim wielkim cudem niedowiarki pogańskie nawraca. Bo oto dwieście lat w jaskini leżeli i śmiercią posnęli, a na głos Boskiego rozkazu powstali od razu, i ani się nie zestarzeli, ani posiwieli, a tak na nich wszystko było, jak przed dwustu laty.

Więc pisał biskup do cesarza, a ten był już chrześcijanin, nie poganin. Pisał biskup: Przyjeżdżaj prędko panie, bo oto Bóg na pokaranie fałszerzy cud uczynił.

I przyjechał cesarz w prędce i pozdrawiał młodzieńce, a oni go błogosławili i mówili, że na fałszów potępienie są zbudzeni.

A skoro to wymówili, ku ziemi się pochylili, i pomarli. — O Panie! my wierzymy w ciał zmartwychwstanie, a skoro nas pobudzi trąba Twego sądu, bądź na nas łaskaw, o Boże, w dobroci nieogarniony, postaw nas od prawej strony, i daj nam spocząć życiem wiecznem, pod Twem skrzydłem bezpiecznem, Amen.

Nie wesoła śpiewka.

Wieje wiater, wieje, kołysze drzewami,
Uganiają wróble całemi chmurami;
Jeden sobie usiadł na gałązce głogu,
Świegocze wesołą piosnkę Panu Bogu:
— A ja sobie jestem wielki pan,
Dla mnie się zieleni cały łan;
A w łanie ziarneczka,
Głód mi nie doskwiera —
Z piórek koszuleczka
Szaro mię ubiera —
A jak swoje skrzydła na wiater rozwinę,
To mię cała ziemia zaprasza w gościnę.
Hej jestem ja sobie wolny pan,
Dla mnie się zieleni cały łan;
Pan Bóg mnie łaskawy
Od wrogów obroni,
Przyjdzie jastrząb krwawy,
To go het odgoni —
Za to się do Ciebie modlę miły Boże,
Zaczem do snu główkę pod skrzydełko włożę.

Wieje wiater, wieje, kołysze drzewami,
Czerni się gościniec, czerni rekrutami;
Jeden sobie idzie, serce mu się kraje,
Śpiewa sobie smutno, aż łza w oczach staje:

— Hej biedny ja biedny jestem człek,
Oj darmom się darmom od nich strzegł;
Przyszli i zabrali,
Na wojenkę wiodą —
Matusia płakali
Nad moją urodą —
I nikiej gościny, i nikiej zabawy,
Idę z karabinem, idę na bój krwawy.
Hej biedny ja biedny jestem człek,
Oj darmom się darmo od nich stozegł;
Jest tam szabel siła,
Zginę na wojence —
A tam Zosia miła
Załamuje ręce —
Pęknie od żałości serce u dziewczyny...
Zlituj-że się zlituj, Boże mój jedyny!

Wieje wiater, wieje, kołysze drzewami,
Czerni się gościniec, czerni żołnierzami;
A dwóch sobie idzie i gawędzą z cicha,
Czasem jeden westchnie, czasem drugi wzdycha;
— Oj szkoda go szkoda, walny chłop!
Poległ na ściernisku niby snop;
Jak powiem matuli,
To będą płakali —
Szablą go zakłuli,
Ledwie pogrzebali —
I ledwie że trawa zrosła na mogile,
Daleko, nie jedna, ani nie dwie mile.
Oj szkoda go szkoda, walny chłop!
Poległ na ściernisku niby snop;
— A cóż tam mateńko
Z jego Zosią miłą? —
— Oj, żyła maleńko
Jak go niestarczyło —
Aż jej serce pękło jednego poranku...
W panieńskim ją ludzie pogrzebali wianku. —

Grześ z Mogiły.

Nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło.

I.

Mówili już głośno ludzie w Piasecznej, że Kuba Świstek ma się do Marynki Kwiczołówney. Kiwali przytem głowami, bo gdzie zaś tam parobczakowi do kmiecej dziewki zaglądać. Jeszcze do tego stary Kwiczoł był sobie kmieć nad kmiecie, i nie jednego mieszczana byłby w kieszeń schował.

Marynka nie była bardzo gładkiego liczka, lecz nic jej też nie brakowało: cienka była w pasie, a do tego ubierała się zawsze w szerokie wstążki i nową chustkę, i w spodniczkę w kwiatki — że iście wyglądała jakoby jaka miejska a nie wiejska dziewczyna. Ale rozpowiadały baby, że też i tyle na niej; że do roboty nie bardzo skora, i woli się do lusterka przeglądać, choć i nie ma czego.

Że Kuba miał się do Marynki, to ludzie sobie nie znowili, ale szczera była prawda. Kwiczołowie gościli Kubę u siebie, już o swataniu myśleli, i wyprawę Marynce sporządzali, jako że nikt inny Marynce się nie trafiał; nie miała szczęścia do ludzi Zaś Kuba, prawda że był tylko parobkiem we dworze, więc i nie bogaty, ale był chłop jak świeca, miał dwoje rąk do pracy, a przytem rzetelny i uczciwy, więc mu już stary Kwiczoł chciał oddać swoje dziecko.

Było to raniutko w Niedzielę, a że pod jesień, więc i chłodno trochę, choć jasno i czysto na niebie, jak zwykle babskie lato. Kuba ubrał się w świąteczną sukmanę, za kapelusz zasadził pawie piórko, jak każdy szczery mazur, i tak ruszył do kościoła. A szło się przez wieś do kościoła, więc też i koło Kwiczołowego obejścia.

Idzie Kuba, patrzy — a tu Marynka uwija się po ogródku i zrywa resztę kwiatków na głowę. Poskoczył Kuba do płota:

— Dzień dobry Maryś! — zawołał, i uchylił kapelusza.

Oglądnęła się Marysia na to niespodziewane powitanie.

— O, Kuba, a kędyż to tak rano?

— A tam, gdzie i ty się zbierasz, do kościoła.

Marysia na to nic nie rzekła, jeno rwała dalej kwiatki.

— Cóż, Maryś, to mi nawet rączki na dzień-dobry nie podasz? — ozwał się Kuba po chwilce.

— Ej, ja nie mam czasu. Toć muszę się zebrać do kościoła, a trzeba przecież godnie się ubrać, żeby ludzie palcem nie wytykali.

— Bo też ty się jeno ubierasz — ozwał się Kuba — i chciałabyś się wszystkim spodobać. Naraili mi ciebie ludzie, a ja cię i w białej spodniczce kocham, byle tylko czysto.

— O, jaki mi wielki pan! — zawołała Maryśka urażona.

— No, nie gniewajże się, moja Maryś, i chodź mi podać rączkę.

— Kiedy mi się nie chce, jeszczem nie twoja — odmruknęła Marysia i rwała dalej kwiatki.

Ale Kuba, chłopiec gorący, nie chciał tak z niczem odejść; więc sparł się rękami o płot, jednym skokiem przesadził, i chwycił za spodniczkę uciekającą Marynkę. Nic to nie pomogło; wyrwała mu się Marynka i zmykła do chałupy.

Został Kuba jak głupi w ogrodzie, a że też właśnie coś zakaszlało na podwórzu, więc nie wiele myślący skoczył nazad przez płot i ruszył do kościoła.

— Co też i za dziewczysko takie! — mruczał sobie po drodze. — Niby to chce iść za mnie, a ucieka od człowieka jak oparzona, i za innymi spogląda. Tfu! to mi się nie podoba. A teraz to się będzie stroić do południa.

Jakoż najpóźniej przyszła Marynka do kościoła, choć razem z słonkiem wstała. Ale za to tak była wystrojona, że wszyscy się na nią oglądali.

Wieczorem była w karczmie muzyka. Byli tam Kwiczołowie z Marynką, był tam i Kuba, i dużo jeszcze ludzi. A owo między ludźmi był także niemiec Johan z Kolonii, co graniczyła z Piaseczną. Dawno już nie widziano kolonisty w karczmie. Bywało przed laty, chodzili oni na muzykę do Piaseczny; ale skoro nasi mazurowie zadarli się z nimi parę razy, i wygarbowali im skórę, tak się już na oczy w karczmie nie pokazywali. Jakoż teraz patrzyli się wszyscy na niemca jak na raroga, i nie wiedzieli po co przyszedł.

Zaczęła muzyka rznąć od ucha. Johan posunął do Marynki, a ona też ruszyła do tańca. Kuba stanął sobie wedle pieca, zły, że go ubiegł niemiec i nie poszedł do kółka. A Johan wywijał sobie z Marynką, a ona już tak do niego szczerzyła zęby, jak do Kuby nigdy. Niemiec stawiał miodu Kwiczołom, oni pili i śmiali się z niego, a Kubę mało djabli pod piecem nie wzięli, i skrobał się aż w ręce, tak go pięście świerzbiały.

Przecież wytrzymał jeszcze jakoś, aż muzyka skończyła, a Marysia zadyszana usiadła przy ojcach na ławie. Przysunął się wtedy bliziutko, i czekał, póki świeżego grać nie zaczną. Nie długo czekał; skrzypiciel włożył skrzypki pod brodę, basista zadudniał na basach, i ozwał się oberek, aż nogi skakały.

— Pójdź-że Maryś do oberka — ozwał się Kuba stanąwszy przed nią.

— Oj, kiedym bardzo zmęczona — odrzekła i tak się skrzywiła, jak żeby jej kto piołun gryźć kazał.

Zaświeciły się oczy Kubie, zacisnął pięści i poszedł nazad pod piec. A owo duchem przyskoczył Johan, wziął w pół Marysię, a ona się do niego słodko uśmiechnęła, i poszli do tańca.

Kuba mało ze skóry nie wyskoczył. Chciał z razu skoczyć w środek i łeb rozwalić Johanowi. Aliści upamiętał się po chwili, założył kapelusz na oczy i wyleciał z karczmy.

Żal było Kubie w drodze, że nie zrobił burdy z niemcem, ale pomyślał sobie: A po co? Marynka by myślała, że ja o nią tak stoję, a nie warto. Niech se lęci za kim chce na złamanie karku. Aleć przecie temu przywłoce psiewiarze nie poduruję. Nauczę ja go, co to znaczy mazurowi dziewkę brać z pod nosa. Poczekaj!

Tak mruczący Kuba szedł sporym krokiem do dworu, a w karczmie tymczasem hulał niemiec z Marynką, zastawiał ojcom napitek; i ani Marynka, ani ojcowie o Kubę nie spytali, choć ludzie zauważali, jako Kuba zaperzony wyleciał na pole.

II.

Kolonia niemiecka ciągnęła się wedle gościńca. Widziałeś tam porządne, czysto wybielone domki, ustawione w ulicę, podworce zamiecione, ulica zamieciona; aż się dusza radowała, tak

wszędzie czysto i ładnie. I kto jechał gościńcem, a spojrzał na Piaseczne po jednej, a na kolonię po drugiej stronie, to sobie pomyślał: a czemu też to u nas tak być nie może? A przecież mamy tak samo dwoje rąk, i tak samo głowę na karku, jak i niemcy. Żeby też tylko człowiekowi nie było żal tych rąk, a grosza nie przehulał w karczmie, to by i u nas tak mogło być!

Działo się to na drugi dzień w poniedziałek. Mroczyło się już powoli na niebie. Na ulicy w kolonii nie było nikogo, tylko małe dzieci bawiły się w piasku, i gdzieniegdzie stara kobieta siedziała na progu przed domem. Reszta ludzi w polu; wzięli się jak mrówki do pracy: orać i siać pod zimę.

Nareszcie zjawił się jakiś człowiek na ścieżce od gościńca do kolonii. Był to nasz Kuba; w zębach trzymał fajkę, kapelusz założył na bakier, a podpierał się sporym buczakiem. Chodził sobie po ścieżce tam i nazad, jak gdyby wyczekiwał kogo.

Jakoż nie wyszło i pięć pacierzy, ukazał się też Johan na tej samej ścieżce. Pogwizdywał sobie i szedł z workiem na plecach od siewu. Bieżał Kuba przeciw niemu, a skoro się zrównali, uderzył w bok pięstukiem kolonistę.

— Czemuż mię sturkasz? — zawołał Johan i stanął.

— Toś ty mię wyciął sobako! — krzyknął Kuba.

— Ja ci tu dam sobakę — zawołał Johan, rzucił worek na ziemię a pięście wyciągnął przed siebie.

— Spróbuj! — odrzekł Kuba, wypuścił fajkę z zębów, i wywinął kosturem po nad głową niemca.

Nie ma co o tem prawić, jak się obaj za łby wzięli, bo człowiek kiedy się bije, to szczere zwierzę; a jeszcze straszniejszy, kiedy ma żal na sercu taki, jako Kuba. Migało się chwilkę, buczak się złamał, a potem leżał niemiec na ziemi, zaś Kuba przykląkł mu na piersi i dusił go za gardło. Johan jął krzyczeć w niebogłosy, a Kuba dusił i klął co się wlazło.

Jakoż na głos Johana zjawiła się cała gromada kolonistów, co z pola wracali; i nuż biegnąć chyżo na ratunek.

Zrobiło się Kubie trochę markotno, skoro ujrzał taką kupę na siebie; i pewnie byłby z rąk ich nie wyszedł żywo, kiedy owo zaturkotało w tej chwili na gościńcu, i jakiś wóz stanął. Z woza skoczył jakiś cudzy człowiek, pobiegł do Kuby, por-

wał go za ramię, i zaczem się owi razem z Johanem oglądnęli, siedział już Kuba na wozie, a ów cudzy człowiek zaciął konie, i zniknęli jak błyskawica.

Wóz, konie i człowiek zdawali się z daleka, nie wyglądali bowiem wcale po mazursku. Ale Kuba nie miał czasu przypatrywać się temu, bo zapamiętały w złości wyklinał jeszcze na kolonistę, wywijał pięściami, i opowiadał cudzemu człowiekowi całą historję, jakby jakiemu staremu znajomemu. Nie wiele odpowiadał na to ów człowiek, tylko wołał na swoje koniki, co czesały jak kula. Skoro się już zrównali z dworem, prosił go Kuba, żeby się troszkę zatrzymał. Jakoż wyskoczył z wozu, podziękował grzecznie swojemu wybawcy i ruszył do dworu — a ów zaciął koniki i pojechał dalej.

Na drugi dzień zaczął Kuba myśleć o tem wszystkiem, co nabroił; i klął na samego siebie, i byłby się rad pod ziemię schował, tak mu wstydno było. Jakoż zmiarkował sobie, coby tu ze sobą zrobić, i przyszła mu dobra myśl do głowy.

Trafiło się właśnie, że Pan młodszy ze dwora miał wyjeżdżać gdzieś daleko na Podole, kędy mu spuścizna przypadała, i miał się już tam zostać na gospodarstwie. Więc Kuba nie wiele myślący posunął do młodszego pana, skłonił mu się czapką do kolan, i prosił, żeby go też zabrał ze sobą.

— A to dla czego? — zapytał pan zdziwiony.

Kuba opowiedział całą rzecz, jak się wydarzyło.

— A teraz — mówił przy końcu, prawie że z płaczem — wytykają mię ludzie palcami, żem się miał do kmiecej dziewki. a inny mi ją sprzątnął z przed nosa. Więc mi już tak markotno, choć między swoimi, żebym się rad pod ziemię schował.

Wysłuchał pan całej opowieści biednego Kuby, i przyrzekł, że go weźmie ze sobą. Jakoż nie wyszło i dwie niedziele, a było to właśnie w piątek, wybrał się pan młody rychło świt w drogę, a z nim i Kuba. Przeżegnał się Kuba, skoro wyruszyli z podworca, i mruknął do siebie: *w piątek dobry początek*, może mi Pan Bóg przecie zginąć nie da między Rusinami.

Dwa dni później, bo prawie niedziela wypadła, ogłaszał ksiądz proboszcz z ambony pierwszą zapowiedź kolonisty Johana z Marynką. Marynka się cieszyła, bo to przecież Johan więcej

znaczył jak Kuba, prosty parobek. Aleć ludzie kiwali głowami i mówili:

— Oj, dobrali się, dobrali! Ona by się jeno stroiła i wydawała na chusty, a on sknera i grosza z łapy nie puści. Ale dobrze Marynce tak; nie trza jej było porzucać Kubę, kiedy był rządny chłop i uczciwy. Wnet ona z tym niemcem zmarnieje, że ani nie będzie wiedziała kiedy.

III.

Jechał Kuba z panem jeden dzień i drugi, a jeszcze nie było końca tej drodze. Mijali miasteczka, mijali i wsie różne, że się Kubie aż we łbie mąciło, a jeszcze nie mógł zobaczyć Rusina. Co zajrzał jakiego człowieka, to het każdy wyglądał jak uczciwy mazur, jeno że trochę inaczej odziany. Zaś Kubie powiadali inni mazury, że rusin to ma tylko jedno oko w głowie. Więc Kuba patrzał i patrzał, i nie mógł zobaczyć rusina, choćby na lekarstwo.

Aż też trzeciego dnia zajechali wieczorem na miejsce. Niczem skręcili do nowego dworu, przejeżdżali wedle karczmy, a z karczmy szedł blask na pole i słychać było gwar ludzi, jako że była to niedziela.

Dziwno było Kubie, że dotąd rusina nie widział, aleć myśli sobie: przecież we dworze choć jednego znajdę. Zajechali do dworu; pan się przywitał, Kuba poszedł do czeladniej izby, patrzy ciekawy, a tam każdy ma dwoje oczów.

— Hou — myśli sobie — to tu chyba nie ma rusinów. Prawdać, że trochę inaczej mówią, jak szczery mazur, ale cóż, kiedy dwoje oczów!

Jakoż przypomniał sobie Kuba, że przejeżdżali wedle karczmy, a tam pełno ludzi; że zaś go korciło napić się choć z półkwaterek, a przytem chciał też końcem zobaczyć rusina, więc się wymknął do karczmy.

No — pomyślał sobie — tam już pewnie każdy z jednem okiem: I aż go zimno przechodziło, skoro otwierał do szynkownej izby. Wszedł — patrzy, a tam wszyscy wyglądają jak na Mazurach.

— Ha, przewidziało mi się, że tu rusiny mieszkają —

pomyślał Kuba, uchylił kapelusza, pochwalił Pana Boga, i rzekł żydowi o półkwaterek.

Ludzi było dużo w karczmie; pili i rozmawiali, a skoro wszedł Kuba, wszyscy się na niego wypatrzyli, co za jespan.

— O, jakiś mazur z pod ciemnej gwiazdy! — ozwał się jeden.

Dosłyszał tego Kuba, odwrócił się od szynkwasu, i rzecze:

— A cóż to wy, z przeproszeniem, może rusiny?

— A jakżeś chciał, szczere rusiny — odrzekną owi.

— O, dla Boga! — zawołał Kuba, przykucznął do ziemi, wytrzeszczył oczy i załamał ręce.

— No, i cóż tak wytrzeszczasz ślipie? — ozwał się jeden tęgi parobczak z gromady.

— Ba, a toć jest czemu — ozwał się Kuba — dyć mi we wsi powiadali, że każdy rusin to ma jedno oko.

— Nie kpij sobie niewiaro! — zawołał parobek, bo myślał, że tak naumyślnie zdziwia. — Toć my także wiemy, ze każdy mazur, jak się narodzi, to dziesięć dni na oczy nie widzi.

— Stul gębę drągalu! bo ci widać czarne podniebienie — zawołał Kuba rozjędyczony, że mu ów tak przygaduje.

Przypatrywali się temu inni ludzie, i śmiali się z gniewu Kuby; aż też jeden powstał, i nuż śpiewać:

Mazurowie nasi, po jaglanej kaszy
Słone wąsy mają, w piwsku je maczają.
Mazurowie mili, gdzieście się popili?
W Warce na gorzałce, w Czersku na złem piwsku....

Do tego skrzywił się ów śpiewak, a wszyscy się śmiali, jakby z jednego gardła.

Za wiele było już tego Kubie. Rzucił się jednym skokiem i złapał za piersi owego kpiarza. Jużci i tamten nie był z gliny, i byłoby przyszło do srogiej bójki, aż ci tu wstał z pod pieca jakiś chłop wysoki, a siwy już trochę na głowie, wziął obydwóch za kołnierze i oderwał od siebie.

Kubie się to nie podobało — i chciał się z razu porwać na starego, ale w tejże chwili stanął i wypatrzył się na niego wielkiemi oczami.

— Jak się macie kmotrze? — zawołał po chwili, rzucił mu się na szyję, i nuż go ściskać i całować.

— A zkądże ty przychodzisz do tego kmoterstwa? — zawołał stary odsuwając się nieco.

— A cóż to, nie pamiętacie? Toć będzie temu ze cztery Niedziele, jakeście mię od niemców heń przy gościńcu obronili?

— A prawda, prawda! — ozwał się stary — ale toć to głupstwo, że i mówić o tem nie warto.

— Ba, nie głupstwo — rzecze Kuba — byłyby mię bestyje na sztuki poszarpały.

— No, widzisz — prawił na to stary — ledwoś się im wydobył, a tu znowu chcesz ludzi rozbijać! A czy to po ludzku, a czy to się godzi?

Zawstydzony Kuba poskrobał się w głowę:

— Ba, jakżeście chcieli, kiedy mię ludzie napastują.

— Toś ty się nie powinien lada czem urażać; a ten, co cię napastuje, to głupi. — Otoś ty głupi! — ozwał się stary do tego chłopa, co Kubie o mazurach śpiewał, aż zmyty i zawstydzony do kąta się schował.

— Nigdy też nie możecie przyjść do rozumu — prawił dalej stary — wyzywacie się ostatnemi słowami; mazur rusina gorzej jak psa nie cierpi, a ów by go także w łyżce wody utopił. A czyż to jeden drugiemu nie jest bliźni? czyżeście to nie bracia? a czyż to jeden z drugim nie mieszka na jednej ziemi? — Tfu, do czarta! jak się tak żreć będziecie, to wam zawsze będzie bieda dokuczać, i w niczem was Pan Bóg nie pobłogosławi!

Zasapał się stary i przestał mówić, a w karczmie było cicho jakby mak siał.

No, a teraz się uściskajcie na znak zgody i braterstwa — ozwał się stary po chwili. — Chodź tu ty z kąta — a nuże!...

Rusin przyszedł do Kuby, wzięli się za szyję i tak uściskali, aż im i świeczki w oczach stanęły.

— Żydzie, dawaj piwa! — zawołał stary, a owo wesołość się wielka zrobiła i gwar w całej izbie.

Dopieroż usiedli wszyscy za stołami, a Kuba jął im teraz opowiadać, zkąd on się tu wziął i co go z mazurów wypędziło. Zaś stary opowiedział znowu, jako Kubę obronił, powracając z drogi próżnym wozem. Dowiedział się przytem Kuba, że stary

zwie się Mykita, i że ma wielkie gospodarstwo, a trudni się też furmanką. Uważał też po nim, że człek bywały, że miał głowę na karku, a więc też go wszyscy ludzie szanowali, boć przytem i mocny był, i taki miły a dobry, jako małe dziecko.

Dużo było uciechy tego wieczora; jeden kazał dać miodu, inny wódki, a choć siła nie pili, to przecież plątały się nogi Kubasiowi, kiedy powracał do dworu.

Owóż już pierwszego dnia zapoznał się Kuba z całą wsią od razu. A chociaż zatęsknił czasem za mazurami, toć mu się przecież nie cniło i między rusinami. Poznał, że dobre chłopiska, i do roboty i do ochoty. A nie wybyło i ze dwie niedziele, to jeszcze lepiej spodobało mu się na Rusi. Była zaś ku temu taka przyczyna:

Najwięcej serca do Kuby okazywał stary Mykita; więc też i Kuba przylgnął bardzo do niego. Zaprosił go też stary i w swoje progi; a skoro tam Kuba zaszedł, ujrzał w chacie Ksenię Mykitową córkę. Była to dziewczyna jak mleko i jagoda, a skoro się czarnemi oczkami na Kubę popatrzała, to serce Kuby od razu do siebie przybiła, jakby ćwioczkami. I tak z początku mało widywał się Kuba z Ksenią; ale potem bywało tak go coś ciągnie i piecze, że już i spać dobrze nie może, skoro nie pójdzie wieczorem do Mykitowej chaty i z Ksenią nie pogada. Stary Mykita patrzał się na to, a nie był krzywy Kubie, jeno owszem jeszcze łaskawszy na niego. Zaś rusini grozili mu w żarcie i mówili: — Ej Mazurze, Mazurze! weźmiesz nam ruską dziewkę!

I wywróżyli Kubie rusini. Nie wybył nawet roku między nimi, kiedy posłał w swaty do Mykity, a swatów przyjął stary dobrze i ugościł. We trzy niedziele potem hulali już ludzie na weselisku Kuby. Ksenia była najszczęśliwsza, a tak rzucała oczkami na Kubę, że mu serce o mało do niej nie wyskoczyło. Więc i stary Mykita i wszyscy ludzie byli temu radzi, a mówili między sobą: a toć tak się dobrali, jak żeby ich Pan Bóg naumyślnie dla siebie stworzył! Nie będzie też im skąpił swego błogosławieństwa.

Owóż od tego czasu osiadł Kuba między rusinami. Mieszkali z Ksenią w obejściu Mykitowem, jako że stary był

wdowcem, i także się przy nich pomieścił. I tak prawie, jak troje gołębi siedzieli sobie razem w świętej miłości i zgodzie.

Po dwóch latach, Mykita, jako że już stary, umarł. Nie mogła go opłakać Ksenia, cieszył ją choć sam pochmurny Kuba, a cała wieś żałowała starego, jak ojca. Został po nim dobytek znaczny, a Jakóbom tak było, że w raju lepszego kąta by nie znalazł. Ale cóż tam z tego, *wilka zawsze ciągnie do lasu*, więc i Kubę ciągnęło na Mazury, i już nie mógł wystać, tak mu się tęskno zrobiło za Piaseczną.

— Moja Kseniu — mówił do żony — albo my sprzedajmy nasz grunt i chodźmy na Mazury, albo co zróbmy, bo ja już nie dam sobie rady. Jak długo jeszcze nieboszczyk żyli, Panie świeć tam ich duszy, to jeszcze pół biedy, ale teraz to mnie i na łańcuchu nie utrzyma.

— Ja się tam ze wszystkiem na ciebie zdaję — powiadała żona — choćby i na koniuszku świata, byle z tobą, to mi zawsze będzie dobrze.

Jednego więc dnia wstał Jakób, pomodlił się, westchnął do Pana Boga i ubrał się w świąteczną kapotę. Nikomu nic nie mówiąc, wymknął się potem z chałupy, i walił prosto do dworu. Jakoż za kilka godzin wrócił się, a był wesoły na twarzy.

— Kseniu, pojedziemy na Mazury! — zawołał już w progu.

— A do czegóż, kiedy tam nic nie masz — pytała Ksenia.

Owóż potom chodził do dworu, i jużem zrobił z panem. Obiecał pan napisać do Piaseczny, a tam ojciec jego sprzedadzą mi za tanie pieniądze piękny kawał gruntu, chałupę sobie postawimy, a grosza dość będzie, skoro tu sprzedamy nasz dobytek.

Poszedł tu Kuba do żony, i tak ją ucałował, że aż odgłos dało. Ksenia siedziała przy kolebce i kolebała dzieciąteczko jak z wosku.

— Niechże się dzieje wola Boska — poszepnęła tylko spoglądając na Kubę.

Nie ma co o tem wiele mówić, jako Jakóbowie swój dobytek sprzedali, jako ich rusini żałowali, i bez płaczu się nawet rozejść nie mogli, bo wszystko im poszło po myśli, a Pan Bóg błogosławił.

Za kilka miesięcy zjechali już do Piasecznej, do nowej

chałupy, bo Kuba naprzód sam jeździł, i majstrów najął i postawił porządną chałupę. I tam ich ludzie przyjęli z otwartemi rękami, bo Kubę lubili jeszcze, kiedy był parobkiem we dworze, a Ksenia choć kobieta, to zakasowała wszystkie dziewki w Piasecznej, taka była zwinna jak wrzeciono, a oczy to jej tak w głowie latały jakby dwie czarne jaskółki. I żyli na Mazurach szczęśliwie, a Pan Bóg przysparzał dzieci, a z dziećmi i dobytku.

Nieraz pytał się Kuba starych znajomych o Marynkę, co za niemca poszła:

— No, i jakże to było?

— A jakby miało być — powiadał stary znajomy — skoroście pojechali, tak się oni też i pobrali niezadługo. Mówili ludzie zaraz przy ślubie, że to niedobrana para; jakoż pokazało się to wkrótce. Johan bił żonę i katował, bo na chusty trwoniła, a on chciał żeby sobie od gęby odejmowała. Owóż nie pociągnęło długo to biedactwo. Bladła i chudła z dnia na dzień, coraz bardziej, coraz bardziej, aż ją też i pogrzebali niespełna we dwa lata po ślubie. Johan zagarnął cały dobytek, boć tylko o to mu chodziło; a widzieliście sami starego Kwiczoła w jakiej jest biedzie. Coś mu tam zięć nie wiele kapnął, że siedzi teraz komornem... Oj mówię ja wam mój Kuba, że to zawsze co swój, to swój — a co cudzy... ot to i mówić nie warto!

A Kuba mawiał na to:

— Widzicie, *nie ma tego złego, coby na dobre nie wyszło.* Wyrządzili mi swoi przykrość, a ja poszedł do rusinów. Głupie ludzie bają tu niestworzone rzeczy o rusinach, a widzicie ja tam znalazł gościnę, żonę i dobytek: zgoła, całe szczęście. Wszędzie znajdziesz uczciwych ludzi; cudzy cudzemu zrobi dobrze, a cóż dopiero rusin mazurowi, albo też ów owemu, kiedyć to jako bracia jednej matki! — Ot, szkoda dziewczyska! zmarniło się!

Westchnął tu Kuba za duszę Marynki. Żal mu było dziewczęcia, chociaż go na dudka wystrychnęła. Staremu zaś Kwiczołowi pomagał w czem tylko mógł, a Pan Bóg błogosławił mu we wszystkiem za tę dobroć serca.

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**